

CZYNSZ

Czeka na poczcie, żeby opłacić prawo do mieszkania.
Czyta kartki wystawione na regale:

„Młodej parze gratulacje z okazji ślubu”,
„Wesołych Świąt”,
„W dniu Twoich urodzin”

– i setka innych. Każda okazja
osobna. Tyle pozdrowień, co ludzi!

Żeby życzenia były szczerze,
trzeba być sobą dla innych:
mieć mieszkanie
tłumnie swoje.

Tego nie zapewni żadna opłata.

*

Małżeństwo T. Sprzedali duże mieszkanie
w powiatowym mieście, kupili niewielkie w Warszawie,
przenieśli się za jedyną córką,
która tutaj robiła zawodową karierę.
Ale wyjechała z mężem i dziećmi do Kanady.
Rodziców nie zaprasza.

Mieszkanie na prowincji
już dawno opuszczone, nawet w pamięci,
zaraża te warszawskie pokoiki
odstającym od ścian opróżnieniem.

Lubię się pocieszać:
„Nie jesteśmy na *starych śmieciach*,
ale jesteśmy na *swoich śmieciach*”.

Jak długo musiałby stać kubek ze śmieciami,
żeby się zapadł i samooczyścił?

Mieszkanie nad nimi należało do córki.
Teraz je wynajmują, to niewielki dodatek do emerytury.
Mieszka tam samotna matka z dwunastoletnim synem,
marzącym o zawodzie programisty.
Państwo T. pod nieobecność jego matki
chętnie się nim zajmują.
Ponieważ nie znają się na komputerach,
trudno im go rozumieć, nie znają świata tego chłopca.

Pani T. niebawem ma pójść do szpitala.
„W sprawie tego mojego raka” – mówi.
A chłopca zanudza rodowodami – swoim i męzkowskim.
Pewnie z lęku.

System badań lekarskich przed przyjęciem do szpitala.
Analizy krwi, moczu, kału, pobieranie wycinków tkanki.
Ktoś w laboratorium manipuluje
mikrokosmosami jej ciała.
Wyniki odbiera w przychodni na ulicy Mariańskiej,
przedwojenna kamienica wybudowana dla Kasy Chorych.
Jedna z sąsiadek opowiada,
że jej matka już przed wojną tam się leczyła.
Pani T. też pamięta o matce.

Sprzątaczkę twierdzą,
że łatwiej ten budynek utrzymać w czystości i porządku
niż nowoczesne konstrukcje z betonu, szkła i tworzyw sztucznych.

Pani T. boi się, że szpitale nie są teraz takie czyste.
Nie chce, żeby ten chłopak ją odwiedzał.

*

Państwo B. w dwupokojowym mieszkaniu, bezdzietni.
Salowa w szpitalu, magazynier w bibliotece.
Bez oszczędności. I tylko żyją
długo i nieszczęśliwie. W stanie wojennym
znaleźli zajęcie i wmówili sobie, że jest misją,
kolekcjonowali w piwnicy wszelką bibułę i pamiątki:
znaczki pocztowe „Solidarności”, ulotki
listy z obozów dla internowanych.
Płacono im za sporządzanie bibliografii podziemnych druków.
Kiedy już nie trzeba się było z kolekcją kryć,
pan B. sklecił z podkradanych w bibliotece elementów

prymitywne regały. Pokoje nimi zagracone.
Kurz wdychany ich płucami,
martwymi płucami ciasnych pokoi.
W stanie wojennym i po 1989 roku starali się
o stypendium w różnych organizacjach
na uporządkowanie i katalogowanie kolekcji –
odmówiono. Mają poczucie krzywdy.
Śmieszne poczucie, przecież dobrze wiedzą,
że trzeba kolekcję przekazać jakiemuś archiwum.

Niedawno pani B.
w kieszeni męzowskiej kurtki nienoszonej od roku
znalazła pieniądze.

Czysty, dobry czas –
jest się żebrakiem, który otrzymuje od czasu
datek bez upokorzenia.
Bierze się jałmużnę od samego siebie! Szczyt pokory.
Ale i zadowolenie: te pieniądze przecież kiedyś
za coś zarobione.

Dlaczego to porusza panią B.?
Bo jakby symbolicznie leczy stan nieszczęścia:
zalanie z pękniętej rury u sąsiada piętro wyżej.
Zapach wilgotnego tynku, papieru –
część kolekcji trzeba było suszyć.
Woda brudna, rdzawa. Możliwe zagrzybienie.
Problem odszkodowania za zniszczenia w kolekcji.
Specjalna przykrość: sąsiad przychodzi i ogląda wszystko.
Chociaż to już żadna dekonspiracja, ale podświadomy lęk
pozostał...

I lęk prawdziwszy. Trzeba wyremontować mieszkanie.
To impuls, żeby wreszcie kolekcję oddać. Oddadzą.

Znajomi mówią, że będzie dobrze dla następnych remontów,
żeby sfofografowali
przebieg nieotynkowanych jeszcze kanałów w ścianie,
wykutych dla przewodów elektrycznych i telefonicznych.
I tak się stało.

Błysk flesza, sztucznego światła w pustym pokoju.

*

Mieszkanie niedowidzących, państwa W.
Pochodzą ze wsi.
On pracuje w zarządzie spółdzielni niewidomych.
Ona – „przy mężu”. Dorabia
chałupniczą pracę: zszywa portmonetki
z przyciętych skórek. Mętny, zwierzęcy zapach.

Uwielbia solaria!
(Niektórzy w solariach się pocą,
ona czuje miłe rozgrzanie).

Mieszkanie na parterze.
Okno od kuchni zasłonięte koronkową firanką,
na niej koronkowy dzbanuszek do mleka, filiżanka.
Objawia przechodniom, że to jest dom!

Mieszkanie skiste, kapuśniakowe.
Mało wzroku, dużo zmieszanego zapachu.
Nawet gdyby mieszkali na stu metrach,
byłoby im ciasno.
Synka ciągle poszturchują głosem.

Oddają poza dom bieliznę brudną i pomiętą,
ze świata biorą do domu bieliznę odnowioną, czystą.
Wydaje im się, że kiedy ją ubierają,
to ich ciała świeżej czują, niż widzą.

*

Państwo F.
Córka alergiczka, nieznana przyczyna uczulenia.
Matka jest socjolożką miasta,
uczy w Wyższej Szkole Praktyki Mieszkalniczej,
wykłada zasady domowego obycia z przestrzenią.
Na biurku mnóstwo maleńkich planików mieszkań,
część beztładnie rozrzucona, część w trakcie klasyfikowania.

Ojciec w rozjazdach, dziennikarz śledczy.

Mieszkanie duże, wygodne.
Luz przestrzeni ułożonych obok siebie, funkcjonalnych,
niedrażniących się wzajemnie, nieocierających się ścianami:

kuchnia, pokój córki, pracownia, salon,
pokój gościnny, bywa, że tam nocują
przyjezdni świadkowie afer, z którymi ojciec
musi się spoufalić, sypialnia rodziców,
maleńka służbówka, w której mieszka dziadek.
Trochę nie zagospodarowanego przestrzennego komfortu,
małe obluźowanie między pokojami,
ale też rozkładające się po pokojach.
Aura oswojonego lęku przestrzeni,
pomieszanego z przeciwieństwem, klaustrofobią.

Dziadek oddaje się pasjansom i grze z wnuczką,
ale tylko prostej grze, w wojnę.

Wnuczka to wszystko ma na skórze.

*

Ktoś czyta nekrolog dziewczyny. Zna jej nazwisko, U.
Kiedyś otarł się o jej domowe sprawy.
Pamięta, że była tam jeszcze jedna córka – dziwne,
że nekrolog podpisują tylko rodzice, bez siostry...
Czy umarła wcześniej?
Może to nie ta rodzina? Chociaż nazwisko rzadkie...

Ktoś był w ich mieszkaniu.
Pamięta dziewczyniński bałagan w jednym z pokoi.
Czy to była ta zmarła z nekrologu, czy ta druga?
Zainstalowała sobie dziwne oświetlenie.
Powiększające przestrzeń i pustoszące.
Utrwalające w sobie – na zawsze – wzór pustki.
A przecież to tylko kilkutygodniowy kaprys podlotka.
Świełna pustka rzucała się na pokoik nastolatki,
na fotografię zespołów disco, na maskotki –
wszystko jarzyło się światłem znikąd.

Ktoś przyszedł, żeby przynieść wiadomość
o śmierci starej niani. Poprosili o to jej krewni,
których dobrze znał, sami z jakiegoś powodu
nie chcieli się pojawić, a czuli, że to musi być
powiadomienie osobiste, a nie pocztowe, bezduszne.

Nastolatka była przez nią wychowywana,
były do siebie przywiązane.

Kiedy powiadał o tej śmierci,
rodzice uznali, że to dobry moment,
żeby zrobić córce awanturę o upiorne światło,
bo mała denerwowała ich: ekscytowała się, mówiąc,
że to jest światło nieboszczykowe.
Wrzeszcząc, przekonywali ją
o niestosowności takich skojarzeń wobec prawdziwej śmierci.

Ta druga córka wstydziła się awantury.

Kiedy uspokoili się,
w jego obecności próbowali ułożyć nekrolog.

Kto teraz czyta nekrolog dziewczyny?
Kto nie pamięta, która jest która?
Kto myśli o zniknięciu tamtej drugiej?
O znikaniu?

*

Ciasno. Dwa pokoje ze ślepą kuchnią.
A w mieszkaniu małżeństwo H. z trójgiem chłopców.
Pokój rodziców, zarazem salonik.
Łóżko małżeńskie na ścianie do kuchni,
w tej ścianie wybite wewnętrzne okno,
sięga się więc z kuchni ponad łóżkiem. Telewizor.
Miły szczegół, po latach pani H. będzie wspominała:
odkurzała wygaszony ekran, a jeden z chłopców mówił
„koniec – chłonic, koniec – chłonic”.
Został poetą, to była zapowiedź.

Pokój dziecięcy. Potrójne piętrowe łóżko,
na nim walki, przewalanki.
Pod ścianą biurko do odrabiania lekcji.

Mały balkonik. Jego ubogie funkcje.
Nieustające przepędzanie gołębi, bo srają.
Kuchnia ciemna, ciasna. A jednak egzotyczny zapach przypraw!

W przedpokoju rowery i trochę księzek
na wąskim regale pod sufitem.

W łazience mnóstwo frotowych ręczników.
Atmosfera wycierania i opatulania.

Poeta po latach, tuż przed snem zobaczył obraz:
stół, wymyta cukiernica leży na talerzu
otworem do dołu, obsycha. Obok,
na takim samym talerzu
uformowany w równy stożek cukier wysypany z cukiernicy.

Czysty obraz.

Ojciec miał obsesję. Nienawidził skrzypiących drzwi.
Codzienna liturgia, obchód ze smarowniczką.
Najpierw drzwi zewnętrzne, na klatkę schodową, na świat.
Później drzwi między pokojami.
Następnie drzwi najbardziej wewnętrzne,
do schowków, szafek, skrytek.
Aż zapominał o tej nachalnej symbolice: drzwi „na świat”.

*

Pan K., lat czterdzieści. Adoptowany.
Prawdziwych rodziców nie zna, był w domu dziecka
porzucony od narodzin.
Matkowała mu kobieta, która już nie żyje.
Mieszkanie po niej odziedziczył.

Jest kierowcą tira.
Wozi polskie wyroby za granicę,
przywozi te same jako obcych firm,
zamiana papierów. Oszustwo go nie obchodzi.

Ma kolegów kierowców, żadnych przyjaciół.
„Domek” tego towarzystwa jest pewien kurwidotek
– tak go nazywają –
hotel w małej miejscowości, który obrali sobie
na miejsce spotkań, tu się w trasach zatrzymują.

Zakompleksiony mizogin.

Jego dom osobisty
to dwa nieprawdopodobnie zagracone pokoje.
Połączenie prowizorki – bo zawsze jest w podróżach –
z tęsknotą do „urządzenia się”.
Wyżywa się w urządzaniu mieszkania na przyszłość,
gdy zmieni zawód, marzy o tym.

W ciasnocie konstruuje jakieś niesłychane warsztaty,
a to do modelarstwa, a to do biżuterii.
Chciałby niebawem zacząć tak zarobkować.
Urządzenia, bajery, grepsy mechaniczne,
linki do pociągania, dźwigienki, korbki, przyciski.
Neurotyczne prze-urządzanie mieszkania.

Jest bardzo silny, trenuje podnoszenie ciężarów
nieomal do zerwania mięśni –
ale lubi też urządzenia pracujące za niego,
prowokowane lekkim, delikatnym tręceniem.

Przez całe lato oknami jego mieszkania
wdziera się zmieszany wrzask
maszynki do strzyżenia trawy
i silniczka w modelu samolotu na uwięzi.
Dźwięki dręczące, natrętne.
Brzęczenie jednostajne,
a urządzenia, szczególnie silniczki modeli,
skomplikowane.
Materia rozpraszana. Pożerana trawa.

Słyszy gwałt zadawany roślinom, toporność ruchu.
Gwałt i toporność brutalne, ale zminiaturyzowane.
Urządzenie na uwięzi:
dźwięk jest znakiem, że ono nie może się zmieścić w sobie,
ruchome części silnika chcą od siebie odlecieć.
Materia rozproszenia.

To nie on tak myśli. Jakieś urządzenie
weszło w niego i przebija
mieszkanie na wylot.

*

Pani K., lat osiemdziesiąt,
wnuczka przedwojennego dygnitarza.
Była radcą prawnym w PRL-owskich instytucjach.
Praktyczna, wesoła oschła.
Nigdy nie wyszła za mąż.

Mieszkanie utrzymuje tak, żeby było przychylnie
chętnemu, ale beznadziejnemu kładzeniu się,
niechętnemu wstawianiu z łóżka po nocy.

To dlatego, że cierpi na bezsenność
i w ten sposób chce chwycić momenty senności.
W nieskończoność ciągną się toalety poranne i wieczorne.
Ale dwie, trzy godziny intensywnej jasności,
perfekcyjnego sprzątnięcia –
enklawa ładu, wewnętrznej i zewnętrznej dyscypliny.

Staje przy oknie.

Dzisiaj topola jest naga i suchogłębista,
rozstępuje się rysami szyby, pęknięciami, bąbelkami.
Wiosną będzie ulistniała poranki
w nieskazitelnej szybie.

Pani K. ma dziwaczny w swoim wieku
kaprys zrobienia doktoratu.
Podsunięto jej temat prawa kosmicznego.
Ją samą to śmieszy: pojęcia dobrze wychowanej
starszej damy
o otchłaniach kosmosu.

Na ścianach rzemykowe wisiorki, srebrne łańcuszki.
Ale nic na nich nie zawisa.
Gdyby coś wisało, życie pani K.
miałoby jakąś grawitację, choćby ozdobną.
Zaufany znajomy kupił i dał jej w prezencie
kulkę z ażurowo splecionych srebrnych nitok –
w środku pusta, można przez nią patrzeć.
Chciał, żeby ją zawiesiła na ściennym łańcuszku.
Miła aluzja do globalnych zainteresowań.

Patrzy przez szybę,
stoi k i e d y k o l w i e k,
w zimie, na wiosnę, w lecie, na jesieni.
Topola tak szybko rosła przez lata,
że rozprzestrzenia czas, jest przestrzenią czasu.

*

Pan O. miał ambicje naukowe,
był teoretykiem geologii. Nic z tego nie wyszło.
Nie zrobił doktoratu. Na uczelni pracuje
na bocznym torze, „starszy wykładowca”.
Ma kompleksy wobec zdolniejszych kolegów.
Tłumaczy artykuły popularnonaukowe

i pozwala sobie na namiastkę twórczości:
„dostosowuje” tłumaczone teksty,
redaguje dla polskich potrzeb,
uwielbia wyzywać się w przypisach:
polemizuje, pozwala sobie na protekcyjny ton
wobec autorytetów.

Byłoby mu wszystko jedno, gdzie mieszka.
Mieszka w myślach o teoriach Ziemi.

Żona jest katechetką.
Chodzi na kursy teologiczne i pedagogiczne,
chciałaby dla siebie i dla uczniów
rozwiązać trudne problemy moralne.
Psalmy złorzeczące, mściwy Bóg.

Byłoby jej wszystko jedno, gdzie mieszka.
Mieszka w Biblii.

Ale mają pięcioro dzieci.
Rok po roku
upieluchowanie, ukąpielowanie, uprzedzskolowanie,
gorączkowanie tego domu.

*

Pani M., od dawna bezdzietna wdowa,
90 lat, pełna przytomność umysłu.
Była nauczycielka geografii.
Wie, że słowo „była” jest teraz jej słowem.
Jak mapa, która nie ma granic.

Gubi się sama w wielopokojowym mieszkaniu,
od pokoleń zajmowanym przez tę samą rodzinę.
Rzadkość w Warszawie!
Z rodziną była wyrzucona przez Niemców.
Po powrocie, dom nie był zrujnowany,
zastali poniemiecką rzecz – wspaniały dywan.
Niemcy chyba zabrali go z jakiegoś żydowskiego mieszkania.
Trochę podniszczony, perski,
z przyrodniczym, mineralnym wzorem.

Czasami nocuje u niej
ktoś z dalekiej rodziny mieszkającej w innym mieście.

I zawsze, kiedy pani M. wraca do mieszkania,
ten krewny słyszy:
„Jak to dobrze, kiedy ktoś drzwi otwiera...”.

Wzmogła się na starość jej energia zamieszkiwania.
Nieustające porządkowanie, przekładanie
rzeczy z miejsca na miejsce po to tylko,
żeby samemu się wśród rzeczy przemieszczać,
przeplatać się z mieszkaniem.

Umysł przytomny, ale ciało
gubi się na swoich peryferiach. Na rzeczach
pozostawia ślady przyptywu i odpływu energii.
Przejście przez mieszkanie staje się linią brzegową
walczących ze sobą przyptywów i odpływów.
Gubi się na peryferiach spraw cudzych –
unika telefonów, mówi na odczepne:
„Zadzwoń później”.

Ma nawyk manualnej modlitwy:
rozprostowuje papierki po cukierkach.
Ta skrupulatność leczy chaos.
Jakby ktoś wziął po śmierci ciało
i wygładzał zmarszczki.

*

Maksymilian Eljowicz, Raciąż 1890 – Treblinka 1942,
malarz, syn chasyda, udzielił wywiadu w 1929 roku.
Dziennikarz pytał go o pobyt w Palestynie
i o „możliwość rozwoju sztuki żydowskiej”.
Wstęp wywiadu jest opisem pracowni,
ulica Emilii Plater 20, na szczycie sześciopiętrowego domu.

„I oto, gdy patrzę przez okno
migają przede mną czerwone i zielonawe światła Warszawy
otulonej ciemnością nocy zimowej,
a gdy odwracam głowę widzę przez oszlony sufit
smutne niebo zimowe”.

Artysta pracownię urządził ze smakiem artystycznym.

„Na ścianach, obitych ciemnozieloną tapetą
rozwieszono są antyczne makaty i hafty staro-żydowskie,

jakie widzieć można tylko w muzeach
lub mieszkaniach bogatych żydów sefardyjskich w Egipcie.
Blade światło lamp elektrycznych
zawieszonych na samym szczycie sklepień orientalnych
pada na emaliowaną, jasną wieżyczkę szafki.
Przy innym oknie stoi czeczotowy,
byszczący stolik o okrągłej tafli. Zwykły na pozór stolik
a jednak gdy przypatruję mu się bliżej,
dostrzegam w nim coś specyficznego:
lekkość stylu połączoną misternie z celowością.
Nie ma tu nic banalnego:
wszystko przyciąga uwagę, każda drobnostka zaciekawia.
W pracowni Eljowicza widzimy równocześnie niebo i ziemię”.

Księga Genesis, początek Biblii:
„Na początku Bóg stworzył
niebo i ziemię”.

*

Rodzaje mieszkaniowej ciszy:
cisza autoagresji, trawiąca ściany
i ścieląca się cisza wygody.

I cisza ścian:
albo są do mnie zwrócone albo ode mnie.
A ja gdzie?

Patrzę na wprost. Ruch spojrzenia w lewo.
Patrzę na lewo. Ruch spojrzenia z lewej na wprost,
następnie w prawo. Patrzę na prawo.
Ruch spojrzenia w górę. Patrzę na sufit.
Ruch spojrzenia w dół i na wprost,
następnie na podłogę. Patrzę na podłogę.

Oko mieszka w sobie.
Czytałem jak się rozwija w zarodku.
Domyślam się,
jak się rozwija we mnie do zamyślenia.

Ciemność powieki i jej odstonięcie.

Ściana na wprost:
obrazy olejne, morze, równina, horyzont,
reprodukcje, fotografie rodzinne.

Ściana na lewo:
lustro, ja w lustrze,
szafa w ścianie, odzież,
będzie się w co ubrać,
żebym był ja.

Ściana na prawo:
regał z książkami, w regał wmontowany telewizor.
Żeby był świat.

Lampa mleczno-kulista,
nad sufitem domyślne niebo, obłoki, czysty błękit.

Podłoga:
naturalne i sztuczne powierzchnie ziemi,
na nich dywan i jego krajobrazy.

A w Warszawie cisza wysoka
jak bladoniebieski billboard,
pusty, rozbielony, czekający na wiadomości
z dawnych gazet:

„Wakacyjnym hitem w Europie
są klimatyzowane wioski,
w których nigdy nie pada,
a temperatura utrzymuje się stale na poziomie 29 stopni.
Pośrodku każdej z nich ogromny kompleks
ze szkła i stali. Blisko wielkich miast.
Nie wolno tam jeździć samochodami,
tylko pieszo lub na rowerze”.

„Po Europie od wielkiego miasta do wielkiego miasta
jeździ wystawa projektów 24-godzinnej domu
ze wszystkimi funkcjami potrzebnymi do życia:
mieszkania, miejsca pracy i wypoczynku, handel i usługi.
Niemcy zainspirowani wieżą Babel
zaprojektowali stalowo-szklany obiekt na rzucie koła.
Dla Włochów inspiracją były średniowieczne domy-wieże.
Polak zafascynowany miejskim ruchem
zaprojektował dom jakby zastygły w ruchu.

Budynek Francuzów ze szkła rozplywa się w niebie.
Fasada projektu Anglików
przeszklona inteligentnym, wrażliwym szkłem,
ma chłodzić wnętrza w czasie upałów, a ogrzewać zimą”.

„W sercu Nowego Jorku, w miejscu,
w którym nikt nie podejrzewałby istnienia
enklawy superspokoju,
w cierpiącym na chroniczne nadciśnienie Manhattanie,
mieści się siedziba Tranquility Tanks.
Wyspa ukojenia w oceanie hałasu, stresów, napięć.
Wszystko tu jest pogodą –
od gigantycznego akwarium
wypełnionego ospałymi rybami,
poprzez przygaszone oświetlenie
do ściszonych głosów personelu”.

*

Z domowych utopii wysyłam życzenia.

„Urodziny w ścianach”.
„Nieżyczliwe święta”.
„Gratuluje młodości z powodu umierania”.

Posyłam kartki. Adresów nie ma.
Gdzie nie ma adresów,
ktoś
żyje, mieszka w sobie, nie żyje,
żyje, nie żyje.
Tu mieszka.